

Relacja z wakacji (poemat żartobliwy)

Wszystkie dziewczęta przybyły zgodnie
ubrane w podróż bardzo wygodnie,
ale z obawą pomyślały,
czy aby dobrą wycieczkę wybrały.
Bowiem Bożenka zwana Hiszpanką
walizy winna przywieźć furmanką.
Bo w obu dłoniach miała bagaże
na grzbiecie plecak ze stelażem.
I na ten widok każda z czterdziestu
myślała ...

zdobywać będziemy szczyt Everestu.

Nie Himalaje były w planie
lecz na Lazurze opalanie.
Ale Bożenka wyjawiała skrycie
- wiozę mikser, bo ułatwia życie.

Bagaż w lukach poukładały
i z nabożeństwem mężów zegnały.
Zająły miejsca i ze łąką w oku
machwały panom stojącym z boku.

Oni zaś ręce zacierali,
że się z babami na chwilę rozstali.
A one wszystkie w wielkim zachwycie
tuliły torby jak własne życie,
jaja, wędliny, sałaty, chleby
wszystko to przecież z wielkiej potrzeby.

Podręczny bagaż maleńki taki
ale jak wielkie są w nim przysmaki.
Szczególnie jeden tak dobrze znany
na co dzień wódką jest nazywany.

Ona to właśnie ma tę władzę
że integruje wszystkich razem.
Autobus ciasny był jak cholera
więc jak to komuś bardzo doskwiera
niech do Boeinga wsiądzie nieboże

a nie udaje dziewczę hoże!

Pierwsi kierowcy byli mili
i na początku oświadczyli
że radość spotka nas w Lubawce
bo wsiądzie tam kierowca Jacek.
Wdzięczną więc pozę każda przybrała
na usta uśmiech przywołała
aby Jacusia przywitać mile
by spędził z nami radosne chwile

I to w historii się nie zdarzyło
czterdzieści kobiet nagle zatkało.

Na swym fotelu siadło panisko
o kierownicę oparło brzuszysko,
i w swojej wielkiej naiwności myślał,
że będzie wodzem gości.

„Baby się z domu na urlop wyrwały”
to były słowa tej durnej pały.

Nasz wdzięk kobiecy no i uroda
Nie pozwoliły słuchać snoba.

Dowaliłyśmy jako żywo, że
się w nim samym znalazło ogniwo
którego Darwin szukał o Boże
a ono tu z nami... w autokarze!
Podróż byłaby niewiele warta
ale Bogusia /ksywa/ aptekarka
każdej z nas miarkę wydzieliła
a grupa się integrowała.

Dobrze, że Unia zniosła granicę
więc za nią również wzniosłyśmy szklanice.

Ale wieczorem było w regulaminie
że goście muszą być w kinie,
Jacuś złośliwy włączył chałturę
co obrażało naszą kulturę,

na rzesach śpiochy nam się huśtały
Orfeuszowi nas oddawały.
Wygodniej znacznie było tym w drodze
co wyciągnęły się na podłodze.
Dwadzieścia i sześć godzin podróż trwała
ale żadna z nas się nie poddała.
Spuchnięte nieco jak po treningu
wysypałyśmy się na kempingu.
Danusia, bo tak na imię rezydentka miała
z radością w domkach nas rozmieszczała.
Domki malutkie, ale milutkie
jednak byłyśmy w kropce
bo jeden z naszych słodkich domków
na małej stał bowiem stopce,
I gdyby któraś z całym impetem
chciała umilić swe życie,
nie było mowy aby z facetem
zrobić cokolwiek skrycie.
Gdyż ten ów domek na kurzej stopce
kiwał się nawet pusty
a co by było kiedy by poczuł
smak nadchodzącej rozpusty.

Tak więc swe żądze w węzeł gordyjski

zawiązać musiałyśmy

i do zwiedzania cudów miejskich

godnie przystąpiłyśmy.

Mała Wenecja południa

tak od początku do końca

misterny splot kanałów

w blasku zachodzącego słońca.

Urocze mostki garbate

i wieża z pięknym widokiem

gdzie cały PORT GRIMAUD

ogarniasz radosnym wzrokiem.

Lazur morza przyzywał

słońce skórę pieściło

ktoś w domku jadło gotował

w lodówce się... mroziło.

Często się jednak tak zdarzało

że słońce zza chmur wyglądało,

i wtedy wszystkie w zwartej kupie
brałyśmy kąpiel w piasku... na pupie.

Jedna z nas Ajrin na imię miała

ta co na plaży Murzyna poznała.

„Niunia” mówiła do niego ospale

gdy jej sprzedawał na szyję korale.

On jej zaś w rowek zaglądał czule
i na dwie obok... duże kule.

Miłość tak pięknie rozpoczęta
nie trwała długo przez dziewczęta.

Każda tej Ajrin zazdrościła
więc ta z Murzynem zdjęcie zrobiła –
z rozdartym sercem go opuściła.

W Saint Tropez przywitało nas słońeczko

i żandarmeria na emeryturze,
zwiedziłyśmy więc miasteczko
i pobliskie z basztą wzgórze.

Widok z góry był osobliwy
co naprawdę rzadko się zdarza
dotyczył bowiem cudnego
leżącego na morzu cmentarza.

Jedyny w swoim rodzaju
nie ma na świecie nawet stu
gdzie fale morza kołyszą
do wiecznego snu.

A w drodze do Monaco
w Cann przystanęliśmy
do Pałacu Festiwalu
bulwarem doszliśmy.

A tam na klepisku odcisków rąk gromada
braci artystycznej dostojna plejada.
Aleję Palmową w Cann, niezbyt dużą wioskę
wspaniałe hotele dość gęsto obrosły.
Te wielkie hotele nie dość że piękne
mają balkoniki jak broszki przypięte.
Zaiste kochani to piękna sceneria
ale już czujemy – blisko perfumeria.
Wielkie centryfugi, rurki i zaciski
Ale my zapachy znamy od kołyski.

Mydła i perfumy, kremy oraz wody
i to wszystko dla nas, dla naszej urody.
I tanie to takie, że nikt nie uwierzy
tylko 200 euro i do kasy bieżysz.
I wreszcie Monaco Państwo Grimaldich
wielkich pieniędzy i hazardu.
Miejsce marzeń każdego turysty
tego znad Bajkału i tego znad Wisły.
Księstwo zagęszczone lecz bardzo czyściutko,
ni puszki czy nawet kurzu
może tylko ciut za dużo majtkowego różu.

Ochoczo więc wszystkie księstwo oglądamy
ogrody Grace Kelly, kaplicę i palmy.
Zatoki na jachty z masztami jak wieże
a każda zna prawdę – ja tu nie należę!
Na zamkowym placu czekamy z przejęciem
żeby się zobaczyć z Alberikiem księciem.
Może Stefa z Karolą przyjdą do strażnicy
by pogratulować nam Polkom – Kubicy.
Wśród turystów, bryk i krzyku siadłyśmy
na pałacowym krawężniku.
Każda lunch wyjęła marny
La Bagiet lecz farsz wirtualny.
Na popitkę zamiast wina
mineralna – w nazwie PRIMA.
Właściwie raz byłyśmy w restauracji
podczas francuskich wspaniałych wakacji,
aby owoców morza spróbować
i starać się... twarz zachować.
Kiedyś nam obce ostrygi czy małże
rąbiemy teraz jak gołąbki z farszem.
Nasza Irenka, ta co... nam królowała
bal pizamowy zaplanowała.
Wybór niewielki był w garderobie
jedna pizama i to na osobie.

Korale, skarpetki i trzymacze biustu
małe dodatki według prywatnego gustu.

Bal pizamowy zgodnie wygrała
Ajrin – co Murzynowi serce oddała.
Wszystkim brawa siarczyste biłyśmy
na dyskotekę się zaprosiłyśmy.

O! – ludzie co tam się działo
można powiedzieć zakotłowało,
kiedy czterdzieści zacnych dam
ruszyło w brazylijski tan.
Dałyśmy taki pokaz ruchu
że mężczyzn aż ścisnęło w brzuchu.
Vivat Polonia słysząc było krzyki
od Europy do Ameryki.

Merci beaucoup Madame mówiły Francuski
a nie są to przecież z Kaczyc Dołów Józki.
Duma i radość pierś nam rozpierała
w tańcu grupa Polek z Jeleniej wygrała.
Któregoś ranka Pani Danusia
obiecała nam atrakcję by zapamiętać te wakacje.
Kanion Verdun ogromnie szeroki
zapierające wręcz dech widoki,
cudowne skały takie wysokie

nie dojrzysz końca starczym okiem.

Rowery wodne w programie były

więc te co starsze zajęły tyły

zaś deko młodsze pedałowwały

ostatnie poty wyciskały.

Naprawdę to był cud natury

ten kanion, wodospady, góry,

tajemne groty i jaskinie

zupełnie jak na filmie w kinie.

Każda usiadła w autokarze

z bagażem przecudownych wrażeń.

Ostatni bal zaliczyłyśmy

na dyskotekę wytworne poszłyśmy,

ale po kilku muzycznych taktach

wytworność pękła jak stara siatka.

Roztańczyłyśmy się jak gazele

że się powiedzieć tak ośmiele.

Po tańcach, zmęczone w niemym zachwycie

Wszystkie się z morzem żegnałyśmy skrycie.

W Jeleniej już panowie stali

i małżonki swe ściskali.

Tak doskonale tę rolę grali,

że się niektórzy ponabierali.

Spotkamy się znowu, aby planować
Jakie to państwo będziemy forsować.

Ewa Pelzer